

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMIL.

11)

Tłum. z francuskiego.

Bardet połknął jednym haustem swą wódkę, rzucił na stół zapłatę i ku wielkiemu zdziwieniu szynkarki wypadł z izby, sniesząc za psem. Nie rozumiał dobrze, dlaczego Frisquet pobiegł za tym rudym drabem, ale, ufając psu, nie przeszkadzał mu w śledzeniu.

Opuściwszy wąskie przejście, rudy człowiek skręcił na prawo i wyszedł na ulicę Kordylerów. Tu zatrzymał się przy tablicy z afiszami i udając, że czyta, rzucił szybkie spojrzenie w bok, nie dojrzał jednak nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenie, że go śledzą. Bardet, ukryty za rogiem, przyglądał mu się ostrożnie z daleka. Frisquet biegł środkiem ulicy z obojętną miną.

Upewniony, iż nic mu nie grozi, rudy mężczyzna skręcił w bulwar Arago. Minawszy kilka domów, wszedł do trafiki.

Bardet, przechodząc obok, zajrzał do środka i ujrzał, jak człowiek ten zapalał papierosa. Przeszedł szybko na drugą stronę, rzuciwszy pełne uwielbienia spojrzenie na Frisqueta, siedzącego z powagą o kilka kroków od trafiki. Agent poznał w rudym mężczyźnie garsona z szynku ojca Bazocha.

Po chwili wyszedł on z trafiki, doszedł do rogu i minawszy Avenue des Gobelins, wkroczył na Lutmar Saint-Marcel. Przebiegł jeszcze ze dwieście metrów, zaglądając do wnętrza małych restauracji, od których roją się te okolice. Wreszcie zdawało się, że znalazł to, czego szukał. Wszedł do małego handlu, prawie pustego i po chwili wahania usiadł przy stoliku w głębi sali.

Bardet, czując głód, zastanawiał się przez chwilę, czy nie pójść za jego przykładem. Pokusa była wielka, ale sprytny agent polapał się, że byłoby to zbyt wielką nieostrożnością. Poszedł więc dalej, zostawiając na straży Frisqueta, zwinętego w kłębek na chodniku, obok drzwi do handlu. O kilkanaście kroków dalej Bardet zobaczył restaurację z szyldem głoścącym:

Spotkanie dorożkarzy.

Rzeczywiście obok chodnika stało kilka dorożek. Woźnice siedzieli w restauracji, grając w karty. Na ten widok Bardetowi przyszła genialna myśl. Zapomniał w jednej chwili o głodzie i bez namysłu wszedł do restauracji. Jeden z dorożkarzy stał za grającymi i przyglądał się im z ciekawością, paląc fajkę. Bardet podszedł doń i rzekł, uderzając po ramieniu:

— Przepraszam, chciałbym z wami pomówić.

Dorożkarz, zdziwiony, przyjrzał się murarzowi i zapytał podejrliwym tonem:

— A o co chodzi? Nie znam was...

— W każdym razie możemy się czego napić. To do niczego nie upoważnia, a przy kieliszku powiem, o co mi chodzi. Ja płacę.

Argument był wymowny, dorożkarz zgodził się i obaj usiedli przy stoliku w innym rogu sali.

— Otóż jest rzecz taka — zaczął agent bez długich wstępów. — Jestem inspektorem tajnej policji.

Dorożkarz uczynił poruszenie, świadczące o przestrachu, połączonym z odrazą.

— Uspokójcie się, ojcze — rzekł Bardet — nie macie się czego obawiać, przeciwnie, chcę wam zaproponować mały interes, na którym możecie dobrze zarobić.

— Ależ, ja nie jestem szpiclem! — zaprotestował żywo woźnica.

— Nie jesteście bardzo grzeczni! — odparł Bardet nieco zmieszany, pokrywając to uśmiechem. — Ale mniejsza o to, słyszę to nie po raz pierwszy. Nie chodzi mi wcale o to, żebyście szpiegowali.

— Więc o co?

— Śledzę teraz pewnego człowieka, który mógłby mnie poznać w tem przebraniu. Muszę więc koniecznie zmienić je.

— Doskonale — rzekł dorożkarz, zaczynając rozmawiać. — Więc pomyślał pan o mnie?

— Właśnie. Chcę z wami zamienić się na ubrania i wynająć od was dorożkę na resztę dnia.

— I co mi pan za to daje?

— Dwadzieścia franków zaraz i drugie dwadzieścia, gdy dostawię powóz wieczorem.

— Za mało. Zarobiłbym przez ten czas więcej. Przytem jest ryzyko.

— Jakie ryzyko?

— Ba! A kto mi dowiedzie, że to wszystko, co pan mi opowiada, jest prawdą? Nie wiem, czy pan rzeczywiście jest agentem tajnej policji?

— A to?

I Bardet pospiesznie włożył rękę do wewnętrznej kieszeni kamizelki, wyjął swe papiery i legitymację i podsunął pod oczy dorożkarzowi.

— No, widzę, widzę... ale w każdym razie... Niech pan dokończy jeszcze dziesięć franków i sprawa będzie ubita.

— Zgoda! — rzekł Bardet, widząc, że musi przystać na warunki dorożkarza, żeby nie przegrać sprawy. Więc połowę zaraz, a resztę po powrocie.

— Nie, niech pan od razu wyklada wszystko, inaczej nic z tego.

Agent wyjął z portfela banknot pięćdziesięciofrankowy, otrzymany od Ducroca i wręczył go dorożkarzowi. Ten począł go oglądać starannie pod światło.

— O! — rzekł Bardet, rozgniewany tem badaniem — możecie się nie obawiać. — Poczem dodał:

— No, ale spieszymy się... Nie mam chwili do stracenia.

Udali się do bocznego pokoju, gdzie zamienili ubrania. Prócz tego Bardet włożył na głowę siwą perukę z długimi włosami i przykleił faworyty. Gdy wyszedł na ulicę zgarbiony, wyglądał na sześćdziesiąt lat i najbliższy przyjaciel nie mógłby go poznać. Stanąwszy na chodniku, rzucił okiem w stronę restauracji, gdzie siedział rudy mężczyzna. Frisquet spał w najlepsze i nikt nie byłby w stanie domyśleć się, że jest na straży.

Zadowolony z tego, zaimprovizowany dorożkarz wdrapał się z trudem na kozioł, wyjął z kieszeni gazetę i zdawał się być zagłęzionym w czytaniu.

W rzeczywistości jednak obserwował drzwi restauracji i rozmyślał nad sposobami dalszego działania. Jeżeli śledzony pójdzie dalej piechotą lub wsiądzie do dorożki, dalsze tropienie go nie przedstawia najmniejszej trudności. Jeżeli jednak wybierze tramwaj lub omnibus? Bardet suszył głowę nad tem, co będzie musiał uczynić w takim wypadku, gdy drzwi restauracji otworzyły się i wyszedł z nich rudy mężczyzna.

Musiał go odurzyć powietrze po wypitych kieliszkach, gdyż chwiał się lekko na nogach i uśmiechał się głupkowato, jak to czynią pijani.

Zatrzymał się na chodniku, zapalając kilkakrotnie papierosa, poczem rozejrzał się dokoła ogłupiałym wzrokiem, jak gdyby czegoś szukał.

Wreszcie oczy jego padły na rząd fiaków i ruszył wprost w stronę starego dorożkarza, który teraz zdawał się spać, zgarbiony na swem siedzeniu.

— Dorożka! — krzyknął przepitym głosem — wolna?

— Do licha! — zamamrotał pseudo dorożkarz, podskakując. — To zależy, gdzie pan chce jechać?

— Dzielnica wojskowa! Avenue Lowendal, numer 18.

— Doskonale, proszę siadać.

Nieznajomy wsiadł, opadł ciężko na poduszki i po chwili zasnął głęboko, kołysany rytmicznym ruchem powozu.

Frisquet biegł za dorożką.

Bardet zatrzymał się przed Nr. 18 na Avenue Lowendal, zeskoczył z kozła i potrząsnął za ramię swego gościa. Ten otworzył machinalnie jedno oko, później drugie, spojrzał ze zdumieniem na dorożkarza, nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje.

Nagle oprzytomniał, wyskoczył z powozu, zapłacił za kurs, dodając napiwek i wszedł do domu, nieco zawstydzony, kiwnąwszy przyjaźnie głową odzwiernej, która stała w drzwiach i patrzyła nań kpiącym wzrokiem.

— Podchmielił sobie trochę! — rzekł Bardet do odzwiernej, udając, że liczy pieniądze.

— Ba! — odparła — to mu się często zdarza. Pozatem to porządny człowiek, mieszka u nas od roku... Ale zdaje się, że w jego kraju wszyscy są tacy.

— W jego kraju?

— No tak, to Alzatzczyk! Nazywa się p. Harschfeld, dawny adwokat...

Bardet nie słuchał dalej. Wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Nieznajomy mieszkał w tym domu. Co do nazwiska, to było obojętne, mógł się nazywać tak lub inaczej, główną rzeczą był adres.

Teraz Bardet musiał spieszyć do Akademii, żeby zdać raport ze swej misji, z której wywiązał się z honorem. Znaczną część zasługi trzeba było oddać doskonałemu wędrowi psa, który z zadania wywiązał się znakomicie.

Agent gwizdnął na swego wiernego towarzysza, siedzącego z wywieszonym językiem, poruszył lejcami i odjechał dobrym klusem, pożegnawszy uchy-

leniem kapelusza rozmowną odzwierną, która spojrziała nań z oburzeniem, iż tak niegrzecznie prze-rwano jej rozpoczęte zwierzenia.

ROZDZIAŁ XI.

Pan Gombert, rentier.

Od ośmiu dni w ogródku tajemniczego domu przy ulicy Świętego Jakóba, gdzie zginęli baron Collet, inspektor Staub i księżę Burg Hausen, panowało wielkie ożywienie. Ogrodnicy wyporządzali ścieżki i dróżki, przeprowadzali nowe aleje. Murarze tynkowali i pobielali front domu.

Wszystkie te prace, których nigdy by się w normalnych warunkach nie podjął skąpy właściciel domu p. Vernon, tłumaczyły się tem, iż wynajął on wreszcie dom na trzy lata.

Od czasu, jak pani Jude przestała tu mieszkać, nikt nie chciał wynająć domu, przerażony legendami, jakie krążyły w okolicy o tej „kryjówce zbrodniarzy“. Niewinny na pozór domek cieszył się najgorszą reputacją u sąsiadów. To też wszyscy byli zdania, iż zamieszkać tu mógłby jedynie człowiek pozbawiony zdrowych zmysłów, oryginał lub też osobnik o ciemnych zamiarach. Cała dzielnica z niecierpliwością oczekiwała na przybycie nowego lokatora.

Sprowadził się wreszcie pewnego pięknego poranka i najbardziej zawzięci z sąsiadów nie znaleźli w nim nic podejrzanego.

Lokator ów nazywał się p. Gombert, jak się zaraz dowiedziano. Wyglądał on bardzo przyzwoicie, ubrany był porządnie i nie sprawiał wrażenia ani oryginała, ani zamaskowanego bandyty. Przeciwnie, pełna jego twarz, tryskająca zdrowiem, wzbudzała sympatię. Twarz tę ożywiały szare, żywe oczka, świecące z pod gęstych brwi. Wzrostu był niewielkiego, dosyć otyły, z oszpeconym brzuszkiem, miał szpakowate włosy i takąż brodę. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat. Towarzyszył mu pies żółty w czarne plamy, którego rasy niepodobna było odgadnąć.

Zainstalowawszy się w swem nowem mieszkaniu, p. Gombert udał się do pobliskiego handlu na śniadanie, które zjadł pospiesznie, poczem powrócił, by obejrzeć dom, w którym zamieszkał.

Można to było uczynić w przeciągu paru minut, ale p. Gombert zużył na to całą godzinę. Można było przypuścić, że bada starannie każdy zakątek. Front domu i ogródek od ulicy nie zajął mu wiele czasu, poprostu rozejrzał się tutaj i udał się wprost do ogródka od tyłu, gdzie zabawił znacznie dłużej. Przedewszystkiem długo przyglądał się granicom ogródka, utworzonym przez budynki, fabryki powozów, garage automobilowy i niski mur, pokryty skorupami. Można było poznać z wyrazu jego twarzy, że pragnie zdać sobie z czegoś sprawę i że przedwstępne badania miejscowości nie zadawałają go.

Wszedł do małej drwalni, znajdującej się przy wejściu do ogródka i wyszedł stamtąd z ogromnym, ciężkim pniem do rąbania drzewa. Trzymając go na ramieniu, przeszedł kilka kroków bardzo powoli, opierając się całym ciężarem kolejno na każdej nodze. Potem pochylił się, badając ślady na piasku. Ale piasek był suchy i śladów nie było widać. Mimo to zdawał się być zadowolonym. Udał się do domu, przyniósł konewkę z wodą i zwilżył nią piasek, poczem powtórzył swe poprzednie doświadczenie. Tym razem ślady stóp były dosyć wyraźne. Wówczas p. Gombert zdjął trzewik, postawił go na piasku i uderzył weń z całej siły pniem. Ślad, powstały w taki sposób, był daleko wyraźniejszy.

— Qto, czego się chciałem dowiedzieć! — mruknął, zacierając z zadowoleniem ręce.

Poczem wciągnął trzewik i powrócił do domu. W korytarzu napotkał psa, o którym zapomniał podczas swych zagadkowych doświadczeń. Pies dobił się do drzwi od piwnicy i prosił wzrokiem o otwarczenie ich.

— Tak, tak — mówił do siebie p. Gombert — oto drzwi, za którymi musi się coś dziać, musimy tam teraz zajrzeć. Cicho, piesku! cicho! chwilę cierpliwości. — Wyjął z kieszeni małą, ślepią latarkę, zapalił ją i po kilku niudanych próbach otworzył wreszcie drzwi z klucza. Pies wpadł do piwnicy, o mało nie wywróciwszy swego pana i p. Gombert usłyszał zaciekle ujadanie i przenikliwy pisk. Pospieszył za psem do piwnicy, gdzie było zupełnie jasno i ujrzawszy przyczynę hałasu, wybuchnął głośnym śmiechem:

— Ach! żeby to było tylko to!

Pies tarmosił z wściekłością olbrzymiego szczura. Odebrawszy, nie bez trudu, psu zdobycz, p. Gombert wyrzucił ją przez okno, poczem przystąpił d-